

Andersen. Opowiadanie (nie)dzieciom [TPCT 488]

W jego opowieściach pulsuje pamięć o utraconej całości – o jedności między światem widzialnym i niewidzialnym, między tym, co doczesne, a tym, co wieczne. Andersen nie tylko przypomina, że życie jest baśnią – mówi więcej: że każda baśń, o ile jest prawdziwa, prowadzi ku tajemnicy. I może właśnie dlatego jego słowa pozostają tak niepokojąco aktualne.

W dziejach literatury, które nader często przyzwyczyły nas do szufladkowania dzieł w kategorie wygodne, przejrzyste i pozornie niewinne, są postaci, które wymykają się tym nader prostym zestawieniom. A przynajmniej powinny. Bo czyż można właściwie zrozumieć tego duńskiego syna szewca, który z nadzieją w sercu i wyobraźnią graniczącą z szaleństwem wkroczył w dziewiętnastowieczną Europę, zdominowaną przez racjonalizm i rodzącą się nowoczesność? I to objawienie zdawało się nader delikatne – w obrębie literatury dziecięcej, pozornie przeznaczonej jedynie dla właśnie najmłodszych. Pozornie, ponieważ ten, kto rzeczywiście zmierzył się z pisarstwem Andersena, szybko przyzna, że wymyka się on wszelkim prostym schematom. Upomina się on bowiem o sprawy najwyższej wagi: o duszę, śmierć, sens ofiary czy tęsknotę za nieśmiertelnością. Hans Christian Ørsted oceniał wówczas, że to właśnie baśnie przyniosą Andersenowi nieśmiertelność. Nie mylił się.

Epoka, w której przyszło Andersenowi żyć i tworzyć, była czasem gwałtownych transformacji. Rewolucja francuska zostawiła po sobie nie tylko pojęcie „wolności, równości i braterstwa”, ale i głęboką pustkę duchową, którą romantyzm próbował wypełnić, na nowo mitologizując świat. Andersen był dzieckiem tej przemiany. Wychowany w duchu protestanckiej surowości i skandynawskiej powściągliwości, był od najmłodszych lat obdarzony swoistą metafizyczną wyobraźnią. Dorastał wśród biedy i ograniczeń społecznych, niosąc w sobie pewną ambiwalencję: jednocześnie żywe marzenie o sławie, jak i głębokie przekonanie, że świat nie należy do tych, którzy tylko w nie wierzą. To poczucie nieprzystawalności, odrzucenia i samotności uczyniło go jednym z najczulszych narratorów duchowych zmagających XIX wieku.

I warto to przyznać na wstępie: baśnie Andersena nie są opowieściami dla dzieci – są raczej archetypami osadzonymi w pozornie pozareczywistym świecie. Wystarczy spojrzeć na *Brzydkie Kaczątko*. Jest to swoista baśniowa autobiografia autora: dziecko urodzone nie w swojej rodzinie, nie w swoim czasie, które przez odrzucenie i cierpienie odnajduje swą prawdziwą formę. Jednocześnie czy nie może to być historia *everymana*, który doświadcza bólu niedopasowania, przemieniając się przez cierpienie? Archetypy, jakim Andersen podszywa swe baśnie, są starsze niż on sam – są echem dawnych opowieści, mitów, nierzadko przefiltrowanych przez chrześcijaństwo. Są drogą, która, jak w *Małej Syrence*, chce stać się nieśmiertelna nawet za cenę milczenia i bólu, by ostatecznie umrzeć, by osiągnąć zbawienie.

Nie sposób nie dostrzec w tych opowieściach wyraźnego rysu chrześcijańskiej teodycei: karą jest nie cierpienie, lecz oddalenie od Boga. Karen z *Czerwonych trzewiczków* (jakże pięknie oparta na

biograficznym doświadczeniu duńskiego pisarza historia) tańczy bez końca – nie dlatego, że złamała zasady społeczne, ale dlatego, że wybrała drogę *hybris* zamiast pokory. Jak echo średniowiecznego moralitetu, Andersen maluje świat, w którym każde działanie ma konsekwencje, każda decyzja odciska się w wieczności. Lecz nie ma tu moralizatorstwa, a raczej piękna opowieść o pokusie, grzechu i odkupieniu. Bowiem każda dusza jest w drodze. Z kolei w *Dziewczynce z zapalkami* Andersen wyciąga na wierzch całą bezwzględność świata – ale robi to bez kierowania oskarżeń wprost, lecz poprzez zobrazowanie konsekwencji. Co więcej, śmierć dziewczynki nie jest tragedią, lecz wyzwoleniem, jest przejściem ze świata odartego ze sprawiedliwości do miejsca, którym otacza ją osobowa miłość. To w tych scenach Andersen przyjmuje rolę mistyka, który, jak Dante, zna piekło, ale prowadzi także przez kolejne kręgi, które przynależą do innego porządku.

Warto też zauważyć antropomorfizm jego opowieści: przedmioty mówią, czują, cierpią – igła, krzesiwo, słowik, ołowiany żołnierz. Ale czy nie jest to tylko sposób na ukazanie, że wszystko, co stworzone, uczestniczy w dramacie istnienia? W duchu św. Franciszka z Asyżu Andersen zdaje się odnajdywać we wszystkich rzeczach boską iskrę, zdolność do bólu, przemiany, miłości. Z drugiej strony także, jednym ze stałych motywów twórczości Andersena jest niepokój moralny, który sprawia, że ich odbiór przez dzieci jest tylko jedną warstwą. Dojrzały czytelnik, jeśli tylko potrafi otworzyć się na pełnię tych opowieści, odnajdzie w nich napięcie między wolnością a odpowiedzialnością, między sensem a nieładem. Andersen nie podaje rozwiązań, lecz stawia pytania – kto wie, może nawet w duchu Sokratejskim? – i w tym właśnie przypomina największych filozofów. Gdzie jest granica między *doxes* a prawdą?

Wreszcie, Andersen to pisarz Zmartwychwstania – ale Zmartwychwstania rozumianego nie jako narracyjna konwencja szczęśliwego zakończenia, lecz jako metafizyczna możliwość. W jego baśniach – od *Małej Syrenki* po *Opowiadanie o Matce* – nie odnajdziemy łatwego *katharsis* ani nader prostej pociechy, odnajdziemy zaś strukturę paschalną, w której ból, strata, milczenie i samotność stają się drogą do wewnętrznej przemiany, swoistego przeobróżenia człowieka. W tym sensie Andersen wpisuje się w tradycję filozoficzno-religijną, którą moglibyśmy określić jako chrześcijański egzystencjalizm jeszcze przed Kierkegaardem – tradycję, w której człowiek dopiero w zetknięciu z granicą, z nicością, z rozpaczą i śmiercią, staje się gotowy na spotkanie z transcendencją. Nie przypadkiem u Andersena Zmartwychwstanie nie przychodzi na drodze triumfu, ale przez pokorę, pokutę i ofiarę – czyli poprzez to, co Pascal nazywał „sercem skruszonym”, a co św. Paweł uznawał za fundament wiary. To właśnie ten dramat duszy, który, doświadczając własnej niemocy i słabości, otwiera się na rzeczywistość większą od siebie, stanowi duchowy rdzeń jego opowieści. I dlatego Andersen nie moralizuje, lecz mistagogizuje – prowadzi w przestrzeń misterium, gdzie zbawienie jawi się nie jako nagroda za cnotę, lecz jako owoc wytrwałego trwania w miłości mimo cierpienia. W tym sensie jego bohaterowie są nie tyle postaciami literackimi co figurami teologicznymi, noszącymi w sobie echo kenotycznej prawdy o Chrystusie, który przez cierpienie przynosi życie. Tak rozumiane Zmartwychwstanie nie jest epilogiem baśni – jest jej ukrytym sensem, objawiającym się tym, którzy potrafią czytać nie tylko fabułę, ale i duszę opowieści.

Andersen opowiada w pewnym sensie dzieciom, ponieważ (zgodnie z Ewangelią!) to dziecko staje się dla niego figurą idealnego słuchacza, ponieważ widzi więcej (jak w *Nowych szatach Króla*). Ale Andersen nie zatrzymuje się w progach dzieciństwa. Kieruje swoje baśnie również do tych, którzy zapomnieli, że świat był kiedyś magiczny nie dlatego, że był prosty, ale dlatego, że był pełen znaczeń. W świecie tego duńskiego pisarza baśń nie jest ucieczką od rzeczywistości, lecz jej najgłębszą interpretacją: opowieścią, która pozwala nam pojąć sens poprzez symbol, metaforę, archetyp. To, co dziecko intuicyjnie przyjmuje jako prawdę, dorosły musi mozolnie odkryć na nowo. I może właśnie dlatego Andersen staje się nie tyle pisarzem, ile przewodnikiem dla dusz zbłąkanych w nowoczesności, rozpiętej między utratą *sacrum* a nieumiejętnością odnalezienia nowego języka dla tego, co wieczne. W jego opowieściach pulsuje pamięć o utraconej całości – o jedności między światem widzialnym i niewidzialnym, między tym, co doczesne, a tym, co wieczne. Andersen nie tylko przypomina, że życie jest baśnią – mówi więcej: że każda baśń, o ile jest prawdziwa, prowadzi ku tajemnicy. I może właśnie dlatego jego słowa pozostają tak niepokojąco aktualne.

Jan Czerniecki

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
